

N<sup>o</sup>

WARSZAWA

DNIA 19 PAŹDZIERNIKA 1913 R.

42



KS. JÓZEF PONIATOWSKI.

Rys. Pariseau.

Ryt. Badoureau.



Ks. Józef Poniatowski.

Rys. Grevedon.

(Ze zbiorów H. Wildera).

## Ze wspomnień świadków pogrzebu ks. Józefa w roku 1814.

(Wiązanka druków z przed pół wieku).

Niezadługo wskazówka na tarczy dziejowej zbliży się do cyfry, oznaczającej setną rocznicę zgonu bohatera i ulubieńca narodowego. Wobec tego faktu, budzącego tyle wspomnień — smutnych, a podniosłych — dziwne uczucie rodzi się w duszy niewielu już epigonów niedawnej epoki, w której żyli jeszcze i działali naoczni świadkowie pogrzebu księcia Józefa, owego nad wyraz uroczystego pochodu przez kraj i ulice Warszawy, starszyny wojskowej wszelakiej broni na czele garstki walecznych i ofiarnych niedobitków armji polskiej, do kościoła Ś-go Krzyża, gdzie zwłoki bohatera miały chwilowo odpocząć przed ostatecznym ich złożeniem w grobach królewskich na Wawelu.

Tem głębsze wzruszenie budzi się w duszy piszącego te słowa, na myśl, że przed pół wiekiem niespełna, danem mu było widzieć owych świadków pogrzebu, jednego z nich, Kazimierza Władysława Wójcickiego, znać nawet osobiście, drugiego zaś Fryderyka hr. Skarbka — widywać często na przechodzie po głównej alei ogrodu Saskiego, wtedy, gdy jeszcze do dobrego tonu należało bywać w owym, dziś tak zdepopularyzowanym mleczarniami, teatrmi i dorożkami „salonie letnim“ Warszawy. Wymieniam tutaj dwóch jedynie świadków pogrzebu księcia Józefa, gdyż w młodzieńczych moich latach, przed pół wiekiem, należeli oni względnie do najstarszej generacji mieszkańców stolicy, do pokolenia, które chłopięcemi oczyma patrzyło jeszcze na żołnierzy wielkiej armji Napoleona, na ich tryumfalny pochód na Północ i na straszliwy odwrót z pod Berezyny.

Dla tych to świadków ostatniej posługi od dawanej zwłokom bohatera narodowego, pogrzeb jego, rzecz dziwna, nie był symbolem klęski budzącej w sercach widzów uczucie przygnębienia i chęci odwetu, lecz przeciwnie, stał się widomym znakiem zadośćuczynienia za ofiarę krwi złożoną przez rycerstwo polskie wszystkich stanów społeczeństwa polskiego na polach bitew europejskich w imię ideału wspólnej Ojczyzny, symbolem wierności dochowanej przez Naród i jego najwyższego Wodza Napoleona, któremu, bądź co bądź, Naród ów zawdzięczał wyzwolenie części swych dawnych dzielnic z pod prusko-austriackiego zaboru i tę wiekopomną sławę bohaterstwa wojennego, jaką się chlubił przez wieki całe, przed swoim politycznym upadkiem.

Takie uczucie ożywiało podówczas wszyskie serca patriotów, tych nawet, co się bezwzględnością poglądów w stosunku do sprawców zaboru ich nasępców odznaczeni.

Do rzędu takich, między innymi, nieprzejednanych przeciwników polityki „ugodowej“ (w duchu „Przestróg“ wielkiego Staszica) w stosunku do Rosji, należał zawsze Julian Ursyn Niemcewicz i pozostał nim aż do końca swego sędziwego żywota. Lecz i jego przekonania w pamiętnej chwili pogrzebu ks. Józefa uległy czasowej nieoczekiwanej zmianie. Wraz z całym Narodem poddał się Niemcewicz złudnemu oczarowaniu i urokowi nadziei, że wybiła nareszcie upragniona chwila odrodzenia Polski.

Oto słowa, któremi poprzedził swój śpiew ostatni poświęcony pogrzebowi księcia Józefa, zaczynający się od popularnej strofy:

Z pomiędzy bojów i gradów ognistych  
Wierna swej sprawie, nieodstępna znaków,  
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych  
Garstka Polaków...

„Nie należał Aleksander — pisał Niemcewicz — do krzywd i obelg dawnej Polsce zadawanych, wzgardził chlubą niecných zdobywców burzenia i zatracenia narodów; przeniósł prawdziwą sławę wskrzeszenia niewinnie zagładzonego ludu. Tyle w tej świętej sprawie wylanych krwi potoków nagrodził spełnieniem najgorętszych życzeń naszych. Podniósł Królestwo Polskie, wskreślił imię, wrócił swobody: ten szacunek, te szlachetne dla narodu naszego uczucia, ileż dobrodziejstw nie rokują na przyszłość? Niech wdzięczność nasza wyrównywa darom wielkości!“

Zanim ze wspomnień Wójcickiego i Skarbka przytoczę tu fakty, których byli naoczni świadkami, będzie na miejscu odtworzyć żyjącemu pokoleniu obraz wspaniałego konduktu żałobnego, według relacji gazet ówczesnych, obraz, na którego tle rysują się szeregi wojsk wszelakiej broni Rosjan i Polaków, skojarzonych wspólną myślą złożenia hołdu zwłokom rycerskiego Wodza.

W dzień 8-go września 1814 r. wróciło wojsko polskie do Warszawy, w szczupłych zaiste szeregach, ale okryte prawdziwą sławą. W dniu 8-ym wprowadzone zostały zwłoki wiekopomnej pamięci księcia Józefa Poniatowskiego, który godnym wojownikiem godnie przewodnicząc, spełnił

przeznaczenia koleje i osieraciałemu narodowi wieczną w spuściznie zostawił chwałę. O, jakie odmienne uczucia w tych dwóch dniach przejmowały mieszkańców stolicy! Radość jaką w nich wzniecał powrót rodaków ustąpić wnet musiała boleści na widok szczątków, wodza, którego straty nie przestaniemy oplakiwać. Z takim uczuciem zapatrywali się niegdyś Trojanie na wracające do Troi zwłoki Hektora.

Dnia 8-go z rana, zastępca departamentu warszawskiego, Jan Kanty Rościszewski, przywitał stosowną mową we wsi Wola powracających rycerzy, na przeciw których około godziny 11-ej wyjechał generał Dąbrowski, otoczony licznym sztabem.

Na przedmieściu, zaraz za Wolskimi rogatkami, prezydenci municypalności i policji, w gronie oficerów gwardji narodowej, urzędników i obywateli, oczekiwali na powracających. Uczniowie szkoły artylerji stali uszykowani w szeregach, a cała przestrzeń między Warszawą a Wolą napełniona była mnóstwem pojazdów. O w pół do dwunastej ukazała się przednia straż, a w tej samej chwili rozległy się głosy: „niech żyje wojsko polskie!“ a muzyka gwardji narodowej zagrała marsza z „*Przerwanej ofiary*“: *Powracajcie cni rycerze!*

Postępował naprzód hufiec weteranów i inwalidów, okrytych szanownemi bliznami. Za nimi generał dywizji, hrabia Wincenty Krasiński, wódz, który czynami swemi rudoły wiek uprzędził; pod jego sprawą wojsko nasze wracało do ojczyzny. Za wodzem szło wojsko w następnym porządku: konna gwardja, oddział Tatarów (w roku 1812 uformowano dwa szwadrony złożone z samych polskich i litewskich tatarów, pod dowództwem szefa szwadronu Achmetowicza, tatarą), piechota, artylerja piesza, ułani różnych pułków, nakoniec pułk krakusów, uformowany w 1813 r. w Krakowie, a który po raz pierwszy w murach swoich oglądała Warszawa. Prezydent municypalności, Stanisław Węgrzecki witał wojsko pod samemi rogatkami. Na mowy zastępcy prefekta i prezydenta generał Krasiński odpowiadał w wyrazach pełnych narodowego i braterskiego uczucia.

Gdy się wojsko ku rogatom zbliżało, spotkał je feldmarszałek Barklay de Tolly, otoczony świetnem gronem, a powitawszy generała Krasińskiego, oświadczył chęć przejrzania wojska, które zatrzymało się i natychmiast rozwinęło w szeregi. Feldmarszałek pomiędzy nimi przejeżdżając odzywał się w polskim języku: „Niech żyje waleczne wojsko polskie!“ Na co nasi wojownicy odpowiadali: „Niech żyje cesarz Aleksander, który nam ojczyznę powrócił!“

Wchodzącym naszym rodakom do miasta przewodniczył feldmarszałek Barklay de Tolly z licznym orszakiem generałów i oficerów obu narodów. Kiedy przechodzili przez główne ulice Warszawy, okna, ganki, dachy, okryte były widzami przejętymi najwyższą radością z powrotu braci swoich. Wojsko przeciągnawszy przez miasto, wyszło z niego i rozłożyło się w pobliskich okolicach.

W dniu 9 września, od godz. 6 rano dwanaście dział rosyjskich na placu de Nassauskim

zwanym, zaczęły dawać pojedynczo ognia, co pół godziny, ciągle, aż do godziny dwunastej. Równą liczbę artylerji polskiej wysłano w tym celu za Wolskie rogatki, i też same powtarzała wystrzały. Część jedna polskiej piechoty wystąpiła za rogatki, druga z oddziałami jazdy udała się na Wolę, gdzie do eskorty dla wprowadzenia konwoju do stolicy przeznaczoną została.

Cała piechota rosyjska o godzinie jedenaściej z rana uszykowała się bataljonami w szeregach pojedynczych, wzdłuż zawsze przy jednej tylko stronie ulic w następującym porządku: dwa bataljony od rogatek Wolskich, wzdłuż Elektoralnej ulicy, aż do rogu Orlej, od strony drugiego rogu tejże ulicy jeden bataljon wzdłuż Leszna aż do Tłomackiego, na przeciw Rymarskiej ulicy; następnie jeden bataljon wzdłuż Długiej ulicy; drugi wzdłuż Miodowej i Senatorskiej aż do króla Zygmunta, trzeci wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia od strony kościoła Ś-go Krzyża.

Jazda rosyjska łącznie z żandarmami trzymała straż przy wszystkich ulicach przechodnich.

Jednorazowy wystrzał ze wszystkich dział artylerji polskiej dał znak wyruszenia konwoju z Woli, drugi podobny wystrzał — przybycie jego do szranków miasta, trzeci nakoniec oznajmił wjazd konwoju do stolicy i poczem uderzano w dzwony wszystkich kościołów, prócz księży Bernardynów i Ś-go Krzyża.

Starozakonni wyszli za rogatki miasta z baldachimem pokrytym czarną krepą, odprawili pod nim żałobne modły, przy stosownym śpiewie, poczem starszy z pośród nich zabrał głos i mowę swą zakończył modlitwą: „Boże, niech Twój przedwieczny majestat w całej wspaniałości raczy go przyjąć pod cienie drzewa wiecznego życia, w rozkosznych gajkach raj!“

Przy wjeździe do miasta prezydent municypalności, Stanisław Węgrzecki, na czele rady municypalnej, konfraternji kupieckiej i sztabu głównego gwardji narodowej, powitał zwłoki wodza, na co odpowiedział generał Sokolnicki.

Następnie Karol Lauber, pastor ewangelickiego zgromadzenia augsburskiego wyznania oddał cześć zmarłemu.

Gdy orszak żałobny ciągnąc przez Orlą ulicę zbliżył się ku Lesznu, zgromadzone duchowieństwo przyjęło zwłoki Księcia, a ks. kanonik Szaniawski miał mowę, którą rozpoczął od słów wyjętych z księgi Machabeuszów: *In saeculum memoria ejus in benedictione*. Poczem parada pogrzebowa ruszyła w następującym porządku:

Oddział krakusów otwierał pochód, za nimi wszystkie instytutu szpitalne, obywatelstwo i cechy z rozwiniętymi chorągwiami. Dalej gwardja narodowa z muzyką i całym sztabem na czele i za nią pluton saperów z dobozami, mającemi bębny osłonięte czarną krepą. Za nimi prowadzono konie okryte kirem, a za tymi postępował sztab wojenny i dwór księcia; drugi oddział krakusów zamykał tę część orszaku. Za tym oddziałem szło duchowieństwo świeckie i zakonne, porządkiem rytualnym. Tu muzyka wojskowa poprzedzała kapitułę i od tego miejsca

piechota polska tworzyła wielki kwadrat dwuseregowy dokoła pogrzebowego wozu.

Wóz pogrzebowy otoczony był generałami polskimi, prowadził go generał dywizji Sokolnicki, mając po prawej stronie prefekta jako gospodarza departamentu, po lewej — radcę stanu Linowskiego, jako reprezentanta familji zmarłego. Oficerowie polscy trzymali wartę honorową przy zwłokach wodza i nieśli orły i chorągwie pułków, które bohaterowi do śmierci towarzyszyły.

Za karawanem postępował feldmarszałek Barklay de Tolly, generałowie rosyjscy, członkowie rządu tymczasowego, wyżsi urzędnicy oraz osoby do rodziny zmarłego należące. Oddział jazdy polskiej zamykał pochód, a za nią jednym szeregiem pewna liczba pojazdów dla dam i osób niemogących pieszo konduktowi towarzyszyć.

Skoro karawan ukazał się na ulicy Senatorskiej, na znak dany przez dzwon bernardyński, wszystkie inne ucichły, a skoro się zawrócił ku posagowi Zygmunta i zatrzymał, Rościszewski, zastępca prefekta, zabrał głos w celu powitania szanownych zwłok potomka ostatniego z królów polskich.

Tu należy dać miejsce wspomnieniom Kazimierza Władysława Wójcickiego, który jako świadek naoczny patrzył chłopięcemi oczyma na żalobny kondukt, w chwili gdy ten przy kolumnie Zygmunta się zatrzymał.

„W *Bramie krakowskiej*, — pisze Wójcicki — przy posagu króla Zygmunta III, mieszkał na pierwszym piętrze szanowany powszechnie kupiec ormianin, Minasowicz, ojciec tłumacza *Precyozy* i lirycznych utworów Szyllera. Sklep korzenny miał na dole w tej bramie.

„Ósmy rok licząc, kolego wałem w szkołach pijarskich z najmłodszym jego synem Tomaszem i przez to miałem sposobność z okna jego mieszkania widzieć cały ten smutny i rzewny obchód.

„W dziecięcej pamięci to wspomnienie wyryło się głęboko i widzę go dokładnie, chociaż już okrągło od owej doby upłynęło lat tyle! Było to 19 października 1814 roku. Karawan z trumną ciągniony przez lud, toczył się zwolna od Senatorskiej ulicy na plac przed Bramą Krakowską i zamkiem. Dzwon bernardyński, największy ze wszystkich dzwonów Warszawy, jękliwym odzewem zwiastował całemu miastu tę smutną chwilę, wtórowały mu dzwony wszystkich kościołów. Przed karawanem postępowali w szeregach sapersy w granatowych mundurach, z bermycami z niedźwiedziej skóry, przy któ-

rych wysokie czerwone kity sterczały. Z przodu spadały im na piersi po kolana białe skórzane fartuchy, na ramionach lśniły wielkie, ostre topory. Twarze ich ogorzałe, poważne, z długimi wąsami i brodami, wyrażały uszanowanie. Za karawanem wiedziono konia wierzchowego zabitego księcia. Nic więcej nie pamiętam, jak tylko tłumy wielkie, płacz i jęki ludzi i łzy moje i patrzących ze mną!“

Gdy zastępca prefekta Rościszewski mowę swą zakończył, dzwon bernardyński znowu się odezwał, a za nim uderzono we wszystkie dzwony stolicy, które ponurym swym dźwiękiem zdawały się oznajmiać mieszkańcom Warszawy o zbliżających się do ostatniego kresu szczątkach zmarłego wodza.

W tej chwili wyprężono konie z wozu pogrzebowego a pięćdziesięciu żołnierzy z konnej gwardji zaczęło go ciągnąć, nastąpili drudzy z kolei i odmieniali się jedni po drugich, bo każdy pragnął brać udział w tej ostatniej posłudze oddanej temu, którego stratę cała Polska opłakiwała. Z tyłu za ciałem cisnęły się nieprzebrane tłumy ludu, a wszystkich twarze okrywał smutek ponury, zdawało się, że liczna rodzina idzie za zwłokami ukochanego ojca.

Gdy ciało zatrzymało się przed drzwiami Śto-krzyckiego kościoła, prezesi władz i prefekt z prezydentami zdjęli je z wozu, wnieśli do kościoła i postawili na katafalku. Ministrowie, radcy stanu i generałowie dywizji trzymali brzoje całunu. Zdjęcie ciała z wozu pogrzebowego ogłoszone było wysurzałem z ręcznej broni piechoty wojska polskiego, równo z nim ucichły wszystkie dzwony.

Uroczystość zakończyły mowy, zainaugurowane przez generała Sokolnickiego, nazajutrz zaś odbyło się z wyjątkową okazałością nabożeństwo żalobne w kościele Ś-go Krzyża, uprzedzające pamiętną chwilę przewiezienia zwłok Wodza do grobów królewskich na Wawelu.

Sprowadzeniu zwłok księcia Józefa do kraju poświęcił Fryderyk hr. Skarbek rzewne wspomnienie, które tem dlań stało się droższem, iż dało mu, podówczas jeszcze młodzieńcowi, sposobność do publicznego poraż pierwszy w życiu przemówienia, które — jak pisze — dobrze przez generała Sokolnickiego i przez wszystkich obecnych przyjętem zostało „i zjednało mi jawną u współobywateli wziętość, w skutku której później do służby obywatelskiej z ich wyboru powołany zostałem.“

Aleksander Kraushar.



Rys. Aleksander Swidwiński.

# 19-go października 1813 roku.

Kampanja rosyjska była skończona.

Cisza zaległa na niezmiernym trakcie od Moskwy do Królewca, usianym trupami tysięcy wojowników i szczątkami najwaleczniejszej z armji.

Wielki maestro Napoleon nie był przecież zdekoncertowany.

Czy zdawał sobie sprawę, że odtworzenie tak wspaniałej sztuki, musiało z konieczności pociągnąć za sobą równie wielkie koszty? Czy też domyślał się, że echa pod jego dyktando wykonanej wielkiej rapsodji bojowej będą w przyszłości rzeźwić znudzone monotonią generacje? Czy może pocieszał się nadzieją, że echa te nie przestaną niepokoić zgnusiałych w kramikach rodaków jego w wieku XX-ym?

Bądź co bądź maestro zapowiedział w Warszawie, że wróci nad Wisłę z 300,000 ludzi; na naradzie wojennej w Paryżu przy wzmiance o konieczności układów, uderzył pięścią w stół i zawołał: „Nie traktatów tu trzeba lecz karta-czy!“ Wymógł na osłupiałej Francji i rekruta i ruszył w pole z armją nowozaciężnych, bez jazdy, mając zaledwie nieliczną garstkę starych żołnierzy, którzy odbyli z nim kampanję zeszłego roku i którzy, jak mówił, nie bali się ani ognia, ani mrozu.

Zwycięstwa pod Lutzen i Bautzen omal nie uczyniły go znowu panem Europy. Proszono go o pokój byleby oddał Włochy i wyrzekł się opieki nad Księstwem Warszawskim. Nie zgodził się. Egoizm geniusza różni się od egoizmu prostaczka.

„Pas un pouce de mon terrain, pas une piece de mes forteresses“. Nie wycofał nawet

garnizonów z żadnego z miast okupowanych w Niemczech, choć dałoby mu to 100,000 weteranów, wystarczających do odniesienia zwycięstwa ostatecznego.

Rozpoczęła się nowa kampanja i nowe zwycięstwa, a wreszcie w trzydniowej bitwie pod Lipskiem gmach potęgi Napoleońskiej, wstrząśnięty katastrofą 12 roku, runął w połowie, grzebiąc Poniatowskiego księcia i marszałka Francji.

Postać cesarza-bohatera, [w którym olśniewające blaski geniuszu wciąż wybuchały po chwilowych przyćmieniach, wywoływanych w czasach ostatnich wskutek cierpień fizycznych coraz częściej i którego czyny, zdało się, miały na celu zaprzeczenie teorii, nieuznającej wpływy wielkich ludzi na bieg dziejów, przeciwstawia się dyskretnie osobie Poniatowskiego.

Książę Józef w wyobraźni wielu rysuje się jako szczęśliwy pogromca dam i galant, wyobrażają go sobie zazwyczaj jadącym na czele pułku strojnych ułanów przy akompaniamencie piosenki: „Puku puku w okieneczko... Otwórz, otwórz panienczko“, nadto mówi wiele o ojczyźnie tonem lirycznym oraz zapamiętałe szarżuje z podniesionym pałaszem,

W rzeczy samej był to człowiek, w którym wola zapanowała nad uczuciem; to ostatnie niema w sobie nic z tandetnego entuzjazmu, lecz nosi cechu solidnej głębi człowieka idei, w którym płomień wewnętrzny goreje bez wybuchów mocno i równo; poczucie obowiązku graniczy w nim z rezygnacją; bo genialne rzuty mistrza zapewne nie maskowały przed nim otchłani, nad którą zawisł jego naród; z tą treścią



Śmierć Poniatowskiego.

Mal. H. Vernet.

Ze zbiorów H. Wildera.

kojarzyła się zewnętrzna miękkość i chłód manier światowca.

Książę Józef był utalentowanym wojownikiem, lecz sztuka wojenna jego nie wypływała z chwilowego natchnienia, a raczej z logicznego objęcia sytuacji; zaś plan powzięty wykonywał z zapalem wytrwałym. Był to wódz metodyczny—wbrew utartej o nim opinii uczuciowca, wśród szerszych mas.

Te zalety nie pozostały ukryte przed wzrokiem Napoleona. Z jego rozkazu Poniatowski sekunduje płomiennemu Murat'owi. Pod Tarutinem wybawia tego ostatniego od niewoli, a korpus jego ocala od rozbicia. I pod Lipskiem powierza cesarz najważniejsze i najbezpieczniejsze dowództwo arjergardy jemu, a nie żadnemu z sławnych marszałków swoich, tych *enfants chéris de la victoire*.

Poniatowski ginie na posterunku wierny obowiązкови i tu pozwala sobie na patos przedśmiertelny i szepcze o honorze Polaków, który Bóg powierzył jego pieczy.

Sekretarz Napoleona Bourienne tak opisuje tą chwilę w swoich pamiętnikach:

„Napoleon przed przejściem mostu na Elsterze polecił księciu Poniatowskiemu pokrywać odwrot i bronić tej części przedmieścia Lipska, które przylega do drogi, prowadzącej do Borna. Poniatowski do wykonania tych rozkazów miał zaledwie 2000 ludzi — polskiej piechoty. Znajdował się on na wymienionej pozycji, gdy dostrzegł kolumny francuskie w zupełnym odwrocie i most tak napełniony artylerją i furgonami,

że przejście było niemożliwe. Wyciągnął wtedy szablę i rzekł do oficerów, którzy się znajdowali obok niego: „Panowie tu trzeba pójść z honorem“. Natychmiast rzucił się na czele niewielkiego oddziału kirasjerów i oficerów polskich na kolumny sprzymierzonych. W tym spotkaniu otrzymał postrzał w lewe ramię; był on już ranny w dniu 14 i 16 Października. Tem nie mniej dążył naprzód, lecz znalazł przedmieście napełnione wojskami sprzymierzonych. Przebił się przez nieprzyjaciół, lecz otrzymał drugą ranę; wtedy rzucił się do Plessy, która znajduje się przed Elsterą. Przy pomocy oficerów swoich dostał się na brzeg przeciwny i podążył ku Elsterze przez położony na brzegu tej rzeki ogród p. Reichenbacha. Czas naglił; już większa część jego żołnierzy utonęła w Plessie i Elsterze. Pomimo tego że w onym miejscu brzegi tej ostatniej są strome, książę choć ranny, rzucił się w nią na koniu; fale pochłonięły jeźdźcę wraz z koniem jak również wielu oficerów, którzy poszli za przykładem Księcia. Wielu zostało ujętych na rzece. Pięć dni później rybak odszukał ciało księcia i wydobyl je z wody. Ciało księcia czasowo złożono w grobowcach Senatu ze wszelkimi honorami, należnymi randze zmarłego. Skromny kamień oznacza miejsce gdzie książę był znaleziony. Polacy wyrazili życzenie wzniesienia pomnika swemu rodakowi w ogrodzie p. Reichenbacha, lecz ten oświadczył, że zajmie się tem sam. W istocie kazał zbudować w środku trawnika piękny sarkofag, otoczony wspaniałymi wierzbnami płaczącymi“.

*Kazimierz Ruszkowski.*



Ku upamiętnieniu bohaterskiej śmierci Poniatowskiego.

Ze zbiorów H. Wildera.



Ks. Józef Poniatowski.

Podług sztychu Esbrarda, (Ze zbiorów H. Wildera).

## Rocznica polskiego romantyka.

Wszystkie zazwyczaj jubileusze odznaczają się tym, iż z pod pyłu zapomnienia wydobywają na światło dzienne sławne niegdyś imiona lub czyny pamięci i uznania godne.

Cechą rocznic setnych lub choćby tylko pięćdziesiątych jest wskrzeszanie czegoś, pewna zmartwychwstańczość.

Do jednego z nielicznych wyjątków, wolnych od tej cechy, należy obecna setna rocznica tragicznej śmierci ks. Józefa.

Jak ostatni słoneczny i ciepły dzień jesienny żyje w pamięci naszej poprzez śniegi i mrozy długiej i ciężkiej zimy, tak ten ostatni gest rycerski, tak to życie, które było jednym rapsodem rycerskim, blaskiem swego marzenia fascynuje umysły poprzez cały wiek ubiegły i żyje w nich, poczesne zdobywszy miejsce. Albowiem romantykiem, mierzącym siły na zamiary, był książę Józef, romantykiem niepoprawnym aż do utraty tehu, aż do utraty życia.

Jak błędny rycerz, który ongiś z pieśnią o tęsknocie ruszał w świat i walczył o uznanie dla swej miłości z każdym kto mu się śmiał przeciwstawić, tak i ks. Józef ruszył na ciężką pełną znoju tułaczkę byleby tylko swoją tęsnotę ucieleśnić w kształt konkretny a umiłowany przetopić.

„Bóg mu powierzył honor Polaków“, więc nie mogąc zrealizować złotych snów swoich i rojeń wierny honorami błędnego rycerza, życie oddał za tęsnotę swoją.

Ten romantyzm właśnie, ta bohaterskość wytrwania tak bardzo umiłowany go uczyniły i sprawiły, iż setna rocznica śmierci ostatniego orłęcia polskiego żyje w pamięci i sercach współczesnych.

I choćby historycy i badacze dziejów wystąpili z całym arsenałem zarzutów i dowiedli, że romantyzm ks. Józefa w strategice i dyplomacji zgubne wydał plony, nie potrafią umniejszyć miłowania jakim naród obdarzył tego, co honoru jego ustrzegł.

Były i w późniejszych czasach postacie jasne, pełne ofiarności dla sprawy narodowej, ale nie zdołały zaćmić blasku ks. Józefa, gdyż nie starczyło im tych cech minionej rycerskości.

W dzisiejszych czasach oportunistów i posuwania się po linii najsłabszego oporu, ten rycerz, dochowujący miłości swemu idealnemu marzeniu wbrew ostatecznym przeciwnościom, staje się postacią, nakazującą poszanowanie właśnie swoim niepraktycznym uporem.

W iluż to dworach i dworach wisiał ongiś konterfekt ks. Józefa, ileż panińskich westchnień biegło ku jego osobie, ileż niewieścich serc biło żywiej na jego widok—kochano go jednak wówczas, jako pięknego ułana, później jako wodza ostatnich wojsk polskich, a dopiero w końcu, jako ostatniego z rodów królewskich, który się z narodowym pragnieniem zespolił i urzeczywistnieniu tego pragnienia służył.

Dziś kochają go jeszcze i za to, że granitową wierność okazał bronionej sprawie, a oddając mu hołd, społeczeństwo dzisiejsze składa go najromantyczniejszemu pierwiastkowi, jakim jest wierność ukochanemu marzeniu.

Nie piękno, nie tragizm śmierci Poniatowskiego ogół ukochał, ukochał on tylko konieczność i nieuniknioną śmierć.

W umysłach społeczeństwa obecnego, społeczeństwa, które się tak skutecznie otrząsnęło ze wszelkich marzeń, społeczeństwa, żyjącego już nietylko bez ideału w znaczeniu romantycznym, ale bez jakiegokolwiek planu i programu narodowego, bez busoli w życiu politycznym, w lekceważącym wszelkich zasad podyptaniu, postać ks. Józefa, jako kontrast nabiera waloru niezwykłego i staje się właśnie drogą swoją nie terażniejszą mocą w wytrwaniu na drodze rozpoczętej.

Kult dla ks. Józefa przechowany i trwający, to poszanowanie złożone pełnemu młodzieńczego zapału okrzykowi: „mierz siły na zamiary“; twarda konieczność życiowa zwycięża romantyzm tego hasła, tym nie mniej i zmaterializowane społeczeństwo dzisiejsze ukocha Poniatowskiego za wiarę, jaką pokładał w swem marzeniu, za samo istnienie tego marzenia, za dążenie ku jego ziszczeniu z fanatycznym zapamiętaniem i gorącą miłością.

Te typowe cechy romantyzmu, tak silnie decydujące o czynach i rodzaju śmierci ks. Józefa, nakazują o nim pamiętać i czczyć go społeczeństwu dzisiejszemu, jako jednego z wielkich romantyków czynu.

Leon Chrzanowski.

# KSIĄŻĘ JÓZEF.

19 października upływa sto lat od dnia, w którym fale Elstery zamknęły się nad ciałem Księcia Józefa Poniatowskiego, tego ryce-rza „sans peur et sans-reproche“, którego życie całe i czyny wszystkie były jednym wielkiem umiłowaniem ojczyzny. Kochał on krew i rodaków gorąco i wiernie, kochał mężnie i niezachwianie. — Miłość ta była treścią jego duszy.

Książę Józef — piękny „charmeur“ i zdobywca serc niewieścich z Jablonny i pałacu „Pod Blachą i nieustraszony bohater z pod Raszyna i Lipska, szalejący wśród zabaw Wiednia i Warszawy arystokrata i niestrudzony, nieraz głodny żołnierz z pod Berezyny, wielki wódz i wielki obywatel, chluba narodu i ulubieniec Warszawy!

Ale wieleż cierpień moralnych, wieleż krzywd i upokorzeń znieść on musiał, wiele goryczy w serce mu się wsączyło zanim zdobył sobie miłość i bezwzględne zaufanie narodu, zanim został tym ulubieńcem Warszawy. Kiedy po ciężkiej i smutnej kampanji na kresach z r. 1792, po zerwaniu z królem, któremu nie mógł darować przystąpienia do Targowicy, znękany, zgnębiony tem co się w kraju działo i swoją własną bezsilnością, siedział bezcelowo za granicą, dusza rwała mu się do czynu, do walki, do odwetu za hańbę Targowicy i drugiego rozbioru: wtedy to spotkała go pierwsza krzywda. Wtedy bowiem emigracja działać zaczęła, ukazało się dzieło „O powstaniu i upadku konstytucji trzeciego maja“ w którym przy relacjach z wyprawy 92 roku osoba księcia zupełnie prawie na korzyść Kościuszki była pomijana, — a wreszcie nadszedł rezultat akcji emigracyjnej — powstanie kościuszkowskie. Wszystko to jednak bez wiedzy i udziału księcia. A jednak w imię ojczyzny zapomniał o swej urażonej ambicji, o tem że on, bratanek królewski, generał wojsk polskich na czele stać powinien, i pospieszył do kraju aby się pod sztandar Kościuszki zaciągnąć. Przybywszy do Warszawy objął dowództwo korpusu powązkowskiego. Ale złe losy sprzysięgły się na księcia: Przychodzi klęska pod Szczekocinem Maciejowice, wzięcie Warszawy, upadek powstania, po którym zostaje jeszcze bardziej niepopularny niż poprzednio.

Naród zupełnie przestał w niego wierzyć zwątpiono o nim nie tylko jako o człowieku, ale i jako o wodzu. I niechęć ta nie prędko ustąpiła, wszak jeszcze w 1809, już po Raszynie, gdy jako naczelny wódz armji księstwa Warszawskiego razem z wojskiem opuszczał mury stolicy by udać się do Galicji — usłyszał z tłumem, że jest zdrajcą, że kraj i wojsko nieprzyjacielowi sprzedał.

Zdrajcą on, dla którego wobec spraw narodu przestawały istnieć interesy osobiste, on który bez chwili namysłu wybrał w roku 92 gim między krajem a królem, stryjem swym i dobroczyńcą, on który z pogardą i oburzeniem odrzucił wkrótce po tem dwukrotne propozycje cesa-

rza Aleksandra by odstąpił od Napoleona i wraz z księstwem oddał się pod opiekę Rosji wzamian za co obiecywano mu najwyższe dostojenstwa?!

I trzeba było dopiero wojny Austrjackiej z roku 1809 i działalności księcia w Galicji gdzie wykazał tyle miłości kraju, mężstwa, rozumu i wytrwania, aby przełamać wszelką niechęć, rozwiać niedowierzanie, pokonać podejrzliwość. To też kiedy po pokoju schönbruńskim wrócił Poniatowski do Warszawy witano go tu owa-cyjnie i entuzjastycznie.

Co jednak było przyczyną tej długotrwałej niechęci, tego braku zaufania?

Wiele przyczyn złożyło się na to. W pierwszym rzędzie to, że był on bratankiem królewskim. Stanisław August tak na każdym kroku zawodził nadzieję, które w nim naród pokładał, że niechęć do niego rozciągnęła się na całą rodzinę Poniatowskich. I książę Józef stanowisko swoje zawsze jasno i silnie zaznaczał, w oczach narodu zaś był on przede wszystkim Poniatowskim i ulubieńcem króla. I choć dziś, kiedy w perspektywie czasu możemy sądzić o całym życiu i wszystkich czynach księcia, boli nas ta niesprawiedliwość, która mu się działa: zważywszy na ówczesną sytuację, w której nie było czasu do stracenia, w której krok i czyn każdy mógł być decydującym, nie można potępiać narodu, a nawet mu się dziwić, że przy wyborze ludzi którzy mieli stać na czele był ostrożny i podejrzliwy, że losów swych nie chciał składać w ręce człowieka, który choć złożył już egzamin na wodza i obywatela, nosił jednak nazwisko Poniatowski.

Prócz tych jednak względów dużo było w tem intryg i zawiści. Miał Poniatowski wielu wrogów, którzy mu na każdym kroku szkodzić chcieli. Pierwsze miejsce w tym względzie należy się Zajączkowi. Nienawidził on księcia, bał się jego rywalizacji, szkodził mu jak tylko mógł.

W „Historji“ swojej oczerniał go w jaknaj-niegodziwszy sposób, burzył przeciwko niemu Napoleona, na każdym kroku szukał z nim zaczepki.

Za dowód jak naród nie rozumiał i nie oceniał Poniatowskiego posłużyć może raport, przesłany przez Murata Napoleonowi zaraz po wkroczeniu wojsk francuzkich do Warszawy. Wyraża się on tam o księciu z dużą sympatją, zaznaczając przy tem, że jest on dobrym Polakiem, i że fałszem jest jakoby był stronnikiem Rosji i Prus.

Wytrzymał jednak książę Józef wszystkie najcięższe nawet próby, nie złamały go one, ale przeciwnie. wzmocniły i zahartowały mu ducha.

Miłość, poświęcenie i wiara nie opuszczały go do ostatniej chwili, z nimi i dla nich żył, — z nimi zginął.

J. W.



# POPULARYZACJA WIEDZY

## Z postępów wiedzy i pracy.

### POWŁE WYKOPALISKA SZCZĄTKÓW CZŁOWIEKA PIERWOTNEGO.

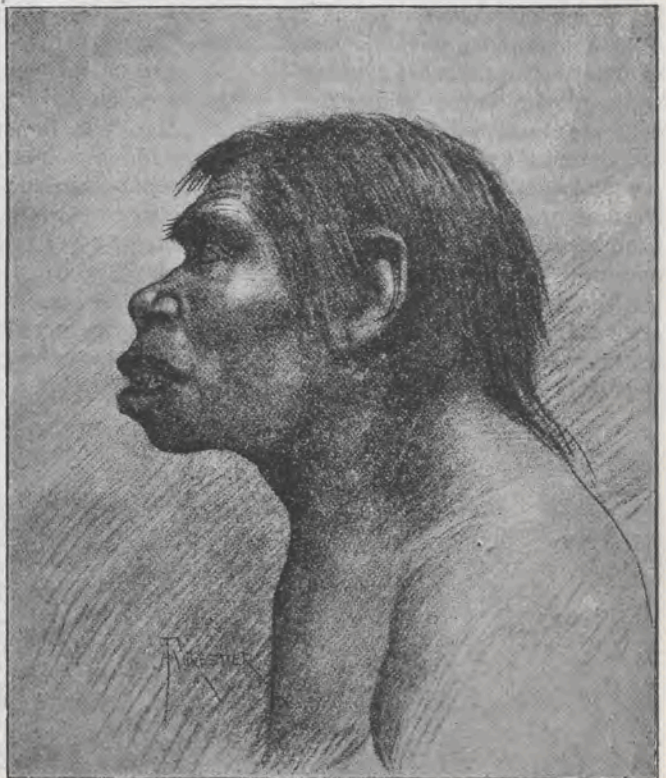
Niedawne to jeszcze czasy, gdy przeciwnicy teorii ewolucji z wielką pewnością wskazywali na nieobecność przejściowych form między człowiekiem i małpą na dowód, że człowiek nie pochodzi od tej ostatniej. Ale po odkryciu, przed dwudziestu laty, na wyspie Jawie szczątków pitekanthroposa — istoty stojącej akurat między człowiekiem i małpą, nie można już było twierdzić, że form tych niema. Potem przepaść między człowiekiem i małpą nie przestawała się zapępniać, dzięki ciągłym wykopaliskom szczątków czaszek ludzi pierwotnych, bardziej przypominających małpę, niż jakkolwiek z istniejących obecnie ludzkich ras.

Pod każdym względem najważniejszym z tych wykopalisk były znalezione w 1907 r., szczątki t. zw. „człowieka heidelbergkiego” — bezspornie najprymitywniejszej i najbardziej zbliżającej się do małpy rasy ludzkiej. Przez długi czas odkrycie to było jedyne w swym rodzaju, aż w końcu zeszłego roku palmę pierwszeństwa otrzymał nowy przybysz z przedhistorycznego świata — „człowiek sassecki”.

Przed rokiem angielscy paleontolodzy Dowson i Woodward znaleźli w kopcu, w hrabstwie Sasseck różne części ludzkiej czaszki. Przez długi czas utrzymywali swe odkrycie w ścisłej tajemnicy i dopiero w końcu grudnia 1912 roku przedstawili wyniki swych poszukiwań na posiedzeniu angielskiego towarzystwa geologicznego. Całe wykopalisko składa się z prawej połowy dolnej szczęki i z właściwej czaszki. Ponieważ obie kości leżały obok siebie, więc jest zupełnie prawdopodobne, że należały one do tego samego osobnika. Szczęce tej brak charakterystycznej cechy wszystkich, bez wyjątku, ras, a mianowicie podbródka. Ze względu na to, człowiek sassecki bardziej zbliża się do małpy, niż jakkolwiekbydż ze znanych nam ras pierwotnych, z wyjątkiem człowieka heidelbergkiego, ten ostatni bowiem posiadał jednak ludzkie zęby, zaś człowiek z Sasseck, zgodnie z rekonstrukcją Woodwarda, miał niezwykle wielkie, jak na człowieka, kły oraz duże siekacze. I z powodu wielu innych

swych anatomicznych osobliwości, sassecka szczeka ogromnie przypomina małpią, zajmując pośrednie miejsce między szczękami szympansa i człowieka heidelbergkiego. Co się dotyczy samego czerepu, to posiada on bezwątpienia ludzki kształt, np. czoło odznacza się bardzo umiarkowanym spadkiem. Ale czerepowa kość jest w dwójnasób grubsza, niż ze zwykłej ludzkiej czaszki. Nizki kark najwidoczniej wskazuje na małpią szyję. Pojemność czerepu wynosi 100 sześciennych cent. Ponieważ pojemność czerepu antropomorficznych małp dochodzi od 400 do 500, pitekanthroposa — w przybliżeniu do 850, człowieka neandertalskiego — do 1,200 a współczesnego Europejczyka — 1300—1500 cent. sześć., to w takim razie nowoznalezioną czaszkę należy umieścić między neandertalskimi czaszkami a czaszką pitekanthroposa. Woodward wyciąga stąd wniosek, że u przodków człowieka z początku rozwinął się mózg, a dopiero potem, dzięki przekształceniu dolnej szczęki — człowiek osiągnął ludzkie rysy twarzy.

Ogólną postać człowieka z Sasseck, według rekonstrukcji Forestiera podajemy na obocznej fo-



Człowiek pierwotny według rekonstrukcji Forestiera.

tografii. Należy dodać, że brak brody na tej rekonstrukcji, tłumaczy się nie tym, iż znalezione szczątki należały do kobiety, a wprost dlatego, iż artysta pragnął podkreślić charakterystycz-

ny kształt dolnej szczęki. „Wiek” wykopaliska nie można było, niestety, ustalić, chociaż niektóre dane wskazują, iż rasa ta mogła już żyć przy końcu trzeciorzędowego okresu.

## KRONIKA POPULARYZACJI WIEDZY.

### Niebo w październiku.

Słońce wstępuje dnia 23 b.m. w znak Niedźwiadka. Fazy księżycy przypadają na następujące daty: pierwsza kwadra 22-go i now 29 b. m.

Z planet widoczne są: Merkury widoczny w końcu miesiąca o zmierzchu na zachodnim niebie; Wenus wschodzi o 4 rano jako jutrzienka w gwiazdozbiorach Lwa i Panny; Mars wschodzi o godz. 9 wieczorem w gwiazdozbiorze Bliźniąt, widzialny cała noc; Jowisz w Strzelcu widoczny wieczorem, lecz zachodzi już o godz. 7-ej wieczór i widzialny jest całą noc.

Planeta Saturn ze swymi pierścieniami oraz 10-cioma księżycami jest jednym z ciekawszych zjawisk naszego systemu słonecznego. Pierścienie, otaczające Saturna można dostrzedz już przez najprostszy teleskop, a obserwowane przez teleskopy wielkiej siły optycznej przedstawiają nieporównany pod względem piękności widok. Pierścienie Saturna były, rzecz prosta przedmiotem usilnych badań astronomów, usiłujących przeniknąć sposób ich powstania, oraz budowę. Matematycy Maxwell i Hirm, na podstawie czysto teoretycznych dociekań doszli do przekonania, iż pierścieni nie tworzy materia ciągła, jedno-

rodna w stanie gazowym, płynnym, czy stałym, że natomiast składają się one z osobnych materii, może z pyłu kosmicznego, utrzymującego się w pewnym kształcie według praw ciążenia powszechnego. Analiza spektralna potwierdziła ten teoretyczny wywód, tak iż dziś cząsteczkowa budowa pierścieni Saturna jest już stwierdzonym naukowo faktem. Na formę pierścieni oddziałuje zarówno masa planety, jak i masa jej księżyców, tak iż księżycy Saturna, nazwano „tokarzami” pierścieni utrzymującymi ich cały kształt. Grubość pierścieni obliczono na 220–230 kilometrów. Z księżyców Saturna najosobliwszy jest „Phoebe”, oddalony od planety o 13 milionów kilometrów i okrążający planetę w ciągu 500 dni, mianowicie porusza się w kierunku przeciwnym niż wszystkie inne; to wskazuje na odmienny od innych sposób powstania księżycy.

Z gwiazd świecących przez całą noc bardzo interesującą jest „Algol” w Perseuszu. Jest to gwiazda o zmiennym blasku, periodycznie zmieniająca natężenie swego światła w ciągu 2-ch dni 20 i pół godz. przez 2 dni 11 i pół godz., świeci jako gwiazda 2 ej wielkości. Przy pewnej wprawie zmiany te mogą być przez każdego obserwowane.

Powód tych zmian nie jest dostatecznie w nauce ustalony, aczkolwiek wahania światła spostrzeżono już w r. 1667. Jedną z hipotez utrzymuje, iż Algol składa się z dwóch ciał, jednego jasnego, drugiego ciemniejszego, wirujących koło wspólnego punktu ciężkości. W ten sposób ciemne ciało, stając co pewien czas między ziemią a jasną połową, Algol sprowadza zmniejszenie blasku całości. Obliczano nawet zasadnicze elementy tego systemu, które tu podajemy dla przykładu wielkości gwiazd. Mianowicie jasne ciało musiałoby mieć 1,700 kilometrów średnicy. Ziemia ma około 12,000 kil. ciemne 1,330,000 kil.; odległość między nimi—5,180,000 kil., a szybkość wirowania 42 kilometry na sekundę.

Hypoteza ta nie wyjaśnia wszystkich zjawisk, zachodzących u Algoli. Postanowiono więc nową, przypuszczając istnienie jeszcze trzeciego ciemnego ciała, wokół którego dwa pierwsze wirują, robiąc jeden obrót w ciągu 141 lat. Różnica odległości tych ciał od ziemi w dwóch krańcowych punktach obrotu wynosiłaby wtedy 346 minut światła, to znaczy, iż w ciągu 141 lat dwa ciała, składające „Algol” przybliżyłyby się i oddalały od nas o przeszło 6 miliardów kilometrów.





# Femina

## Z LITERATURY KOBIECEJ.

„Pod cierniową koroną“. Iza Moszczeńska. Gebethner i Wolff.

Książka przeżyta, przemyślana — przeżyta w tym sensie, że autorka przyjrzała się zbliska nędzy, którą opisuje, współczuła jej w najlepszym tego słowa znaczeniu i przetrwała w swych myślach bogaty materiał, jakim w tej powieści operuje. Stąd też charakter pracy utalentowanej publicystki, zapożyczony barw od tej ostatniej, artystka ustąpiła pierwszeństwa społecznicze i główna postać opowiadania — pani Irena — przesuwająca się wśród murów więziennego szpitala jak usymbolizowany wyrzut, rzucony społeczeństwu, jest rzeczniczką krzywd i nieporozumień pomiędzy ogółem a jednostką. I nie tylko krzywda fizyczna, ból cielesny znajduje w niej siostrę, są jeszcze cierpienia duszy, która szuka własnej drogi, aby wyjść z labiryntu zwątpienia, są męki duszy skutej nieugiętym prawem pięści silniejszego, jest wreszcie suchy dogmat ciasnego katolicyzmu — owo zaprzeczenie życia, negacja szczęścia, do którego najmniejszy robak tęskni i po które sięga... Siostra Kasylda, chociaż zwie się siostrą — ma mniejsze prawa do tego tytułu od bladej pani Ireny, bo ta wzięła ból innych w swoje ręce, zesłała w krainę cieni i rozpaczy, niosąc światło nadziei i miłości bliższej, pewniejszej, lecz akredytywy na ten świat inny, tajemniczy. Na tle staré dwóch tych tak różnych indywidualności, na kanwie szarych, nieskończenie długich dni w tym przybytku choroby — haftuje autorka opowiadanie subtelne o „tym“, który z łoża choroby, w kaidanach dąży po nowe prawa i promień wolności dla innych, którzy po nim przyjdą. Wkłada

w jego usta słowa pełne mocy i wiary, przelewa ją w duszę pani Ireny i każe jej wierzyć, że służba nie kończyła się ze zniknięciem osobistego szczęścia, że twać i iść dalej, to jest najwyższe prawo i konieczność — równoznaczna ze szczęściem. Więc też, gdy zdjawszy szatę szpitalną w kościele, pani Irena budzi się do życia na ulicy pełnej ruchu, w tej chwili w duszę jej wchodzi pewność, że wola straconą dla niej na zawsze — była jej własną, złożono przez przeznaczenie jako skarb nieroztrwoniony. W tych scenach publicystka dała głos artystce — przemówiła dyskretnie, subtelnie — budząc w czytelniku szereg refleksji niedalekich od słów ewangeliji piękna czynu i poezji poświęcenia.

Poza głównymi postaciami postaci, wysuwają się z plastyką sylwetki chorych — różne w typie, złączone, jak jedna wielka rodzina w kręgu lampy — tam — w białych, nagich ścianach szpitala, pod znakiem cierniowej korony, cierpieniem fizycznym, a nie rzadko i moralnym, choć dusze te nie są ze spiżu, ani nawet z żelaza. — Duszyczki małe, uspięne w śnie szarego, codziennego życia, walcząc nie o prawdę, ale o okrucieństwo zwierzęcego spokoju i zadowolenia — tembardziej godne uwagi, że mniej wymagają jej dla siebie...

Pierwsza próba na polu beletrystycznym nie zawiodła zamierzeń autorki — jeżeli chodziło bowiem o znaczenie stojącej wody wygodnego sobkostwa — cel ten został dopięty. Książka p. Izy Moszczeńskiej jest wyrazistym dokumentem do historii pokrzywdzonych i cierpiących. Mniejsza już nawet przez kogo...

K. Łozińska.



# TEATR LETNI — „LEKARZ NA ROZDROŻU”.

## TUALETY PANI LARYS-PAWIŃSKIEJ.

Tualeta I. Suknia wizytowa *modern style* z atlasu *duchesse*, koloru *taupe* (kreci), eleganckie upięcie spódnicy i blusy krojem *aeroplan*. Płaszcz pięknym, modnym fasonem z materiału *gabardine* jedwabnej, również koloru kreta w świetlejszym odcieniu w duże wrabiane kwiaty. Kapelusz *taupe capeline* z angielskiego *feutre glacé*, z piękną czarną egretą. Całość toalety śliczna w rysunku i uwydatniająca wysmukłą kształtną postać artystki.

Tualeta II. Duży płaszcz okalający całą postać z *gabardine* jedwabnej, koloru *fraise*, kapelusz mały, czarny felpowy,

przy nim paradyz podwójny; wspaniały.

Tualeta III. Elegancka suknia domowa biała, modnie upinana, pośród *croisé*, z materiału *charmeuse*, bluza z jedwabnego wualu *broché*, z tyłu rodzaj fałdowanej tiuniki ramowanej sobolami, *ceinture bayadère* z niebieskiego atlasu *feutré*. Śliczne obucie drobnych stóp.

Tualeta IV. Z aktu pierwszego bez płaszcza.

Tualeta V. Suknia biała, powyżej opisana, pasowa róża u boku, także pasowa opaska na głowie.

Tualeta VI. Suknia balo-

wa z białego *voile de soie broché* w biały deseń, bluza gazowa przybierana koronką brukselską, piękne brylanty — dużo szyku i prawdziwej elegancji w osobie i toalecie.

Tualeta VII. Najpiękniejsza a przynajmniej najefektowniejsza. Na czarnej *gabardine* jedwabnej, wspaniały *broché* złoty, w prześliczne desenie, piękny krój i wykończenie całości, estetyczne draperje — pas czarny podnosi efekt. Kapelusz idealnie piękny — fason t. zw. *casque*, nad czołem duża czarna egreta *fantaisie* wokół krosy. Kapelusz ten jest wcieleniem gustu i elegancji. *Marcèle*.



Tualeta I.  
„Lekarz na rozdrożu”. Tualety pani Larys-Pawińskiej.



Tualeta VII.

---

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę  
na kwartał IV-ty.



1.

Naj.  
mądrzejszy  
rysunek  
kobiecej  
postać

S



2

2. Kapelusz fokowy  
obramowanie z  
mustrą. Czarne  
paradyż.



3

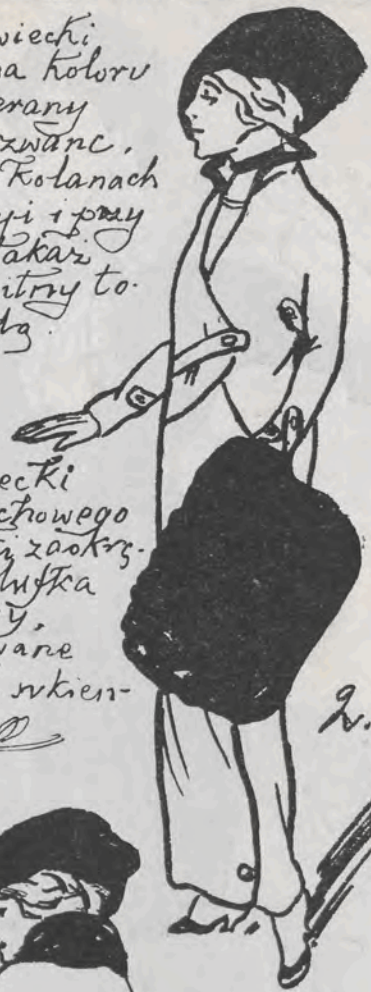
3. Toccet z fantazyjnym  
upięciem z aksami i  
gazy czarnej.  
Egreta biała.

S



1.

1. Kostjum krawiecki, wizytowy z sukna koloru kreciego, przybierany jutrzm "breit szwane", szeroki pas przy kolanach i w talji przy rzyzi i przy mankietach - Takaz mufka - aksamitry toczek z kotkardz.



2.

2. Kostjum krawiecki skromny z orzechowego szwiotu. Krotka, zakrzyglony zakiet. Mufka i toczek lokowy, czarne lakierowane tizewki, biale skienne kamazse.

3. Kostjum krawiecki strojnieszy z "retours de laine" gramatowy. Spodnica w plastose fardu, etola i mufka z gronostai, kapetusz z białego filcu.



3.



4. Kostjum krawiecki skromny z sukna koloru "mousse" (meh) zakiet z fardu wana bastina, pasek z materji cievnieszej, kotwicz i mufka lokowa, toczek filcowy.

1



Strójny płaszcz  
wieczorowy  
Velours mer-  
veille turkuso-  
wy z przybra-  
niem z mat-  
teji czar-  
nej tkani-  
nej z  
złotem

10

Strójne palto.

Aksamit w deseni wro-  
2.zysty przybierany  
Skunksarui - pas  
aksamitny czarnej  
fataki i spódnica.  
Toczek aksamit-  
ny z czarną  
fantazją.

10



3



3. Suknia  
wieczorowa  
Liberty bla-  
do zielony  
Gorsecik z ko-  
torki w talji przy-  
trzymany na  
ramionach sznur-  
kami z pereł lub  
z brylantów pas  
z Liberty i dwie  
roze w boku.  
Tiuruka z gazy  
tegoż koloru przy-  
trzymana tuż kolan  
draperją z Liberty  
z kokardą

3

4. Gorset do  
kostjumów  
krawieckich.

10

10

1. Elegancka sukienka dla dziewczynki. Kaftanik trykoto. wy niebieski przy bierany puszkiem. Spódniczka faldowana Beret ramowany puszkiem

2. Sukienka domowa dla pani. z wełny popielatej w paski



3. Sukienka dla dziewczynki, wełna "côte de cheval" przybierana lokami Kapotusz Boenski



4. Strojna biała sukienka dla pani. jedwabny wul haftowany polami

So...



# LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJAN ORLICZ.

14)

## JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

— Panie Żarski, czy można rozmawiać przy pozowaniu?

— Nietylko można, ale należy, proszę pani.

— Ciekawam bardzo życia w Paryżu.

— Nic ciekawego, życie jak wszędzie.

— Podobno tam o wiele trudniejsze niż u nas.

— Trudniejsze nie powiem, nawet przeciwnie, tylko mniej wygodne dla tych naturalnie, którzy stałej służby trzymać nie mogą.

— Ale ja panu chyba przeszkadzam.

— Najzupełniej nie, proszę pani.

Istotnie węgiel skrzypiał bezustannie po gruboziarnistym płótnie i szkic pysznej postaci kobiecej występował coraz wyraźniej.

Hela, jak dziecko, broniąc się przed strachem piosenką, chciała koniecznie rozmawiać.

— Ten brak służby, to musi być rzecz okropna. Słyszałam, że w pewnym dość nawet zamożnym domu, cała rodzina jada w kuchni, żeby w jadalni nie brudzić podłogi.

— To hołota, wybuchnął Lindner.

— Zupełnie nie hołota, znam ten dom; on wysoki urzędnik, a przytem cały dom inteligentny.

— To psie takie życie. Co taki ma lepiej niż robotnik?

— Powiem nawet, że poniekąd ma gorzej. Stosunkowo do swych potrzeb robotnik zarabia więcej, niż przeciętny inteligent. Prawda, że „pour son dimanche“ wyda jakie piętnaście franków, ale zato ma jedną bluzę do roboty, jeden garnitur od święta i t. d.

— Nie wiem doprawdy, co was tak ciągnie do tego Paryża — Lindner odął wargi lekceważąco — Co wy tam macie?

— Mamy proszę pana, pełnię życia: muzea, biblioteki...

— Dziękuję za muzea i biblioteki, jak niema na śniadanie.

Hela swoim zwyczajem chciała zatuszować.

— Niepodobna wszystkim mierzyć jedną miarą. Czasem temu, co nie ma na śniadanie, może być lepiej na duszy.

— E, to w waszych (stałe przy tym zarzucie używał liczby mnogiej) przewróconych głowach.

Żarski, zajęty pracą, udawał, że nie słyszy grubiaństwa.

Hela żywo odwróciła rozmowę.

— Czy w wielu domach pan bywa?

— Mam dosyć rozległe koło znajomych, kilku żonatych kolegów.

Lindner wzrószył ramionami.

— Ja doprawdy nie wiem, jak taki malarz może się żenić...

Znowu oblała się ponsem.

— Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

— No, jak można nie dać żonie dostatku a nawet zbytków...

— Myślisz, że bez tego niema szczęścia?

— Ee, co mi to za szczęście. Ale, że się pan nie żeni, panie Żarski. Pan już chyba ma pewny kawałek chleba.

— Iii, zresztą — odpowiedział samemu sobie — dobrze pan robi... Sądzi pan, że to takie wielkie szczęście?

— To może być i wielkie szczęście i wielkie nieszczęście.

Hela dotąd nie miała odwagi przypatrzyć się Żarskiemu. Od chwili jednak obserwowowała go uważnie.

Zmęźniał przez te lata, ale niewiele się zmienił.

W oczach tylko i w wyrazie twarzy zauważyła rys jakiś obcy, który przy pracy

rył się ostro, jakies twardo zacięcie szczęki, zimny, jakby wrogi wyraz tych tak tkliwie umiejących patrzeć oczu.

A jemu po głowie tłukła się myśl zawzięta:

„Gdybyż choć ona była szczęśliwa...”

Poczuł się naraz nerwowo wyczerpanym.

Spostrzegła to.

— Pan zmęczony, prawda? A i ja się już trochę znużyłam.

— Rzeczywiście, dziś bym już nie zrobić nie mógł, najwyżej zepsuć to, com zrobił dotąd.

Lindner zbliżył się ciekawie.

Żarski żywo odwrócił płótno.

— Pan wybaczy. Dziś by pan jeszcze nic nie zobaczył.

Suknię umieszczono na manekinie i Lindnerowie pożegnali malarza.

Po ich odejściu, zamknął się w pracowni na klucz.

Uczucie duchowej bezsiły omotało mu duszę.

— To mogło być moje!.. stracone... stracone na zawsze!..

I znowu bolesny refren.

„Gdybyż choć ona była szczęśliwa...”

Porwać! unieść w ramionach, zdala od tego balwana, który lokajem jej być nie wart. Wtulił głowę w fałdy sukni.

Chciwemi nozdrzami wchłaniał subtelny jej zapach...

Upajał się jak narkotykiem, szalał...

Wyschłe wargi wpijał w koronki gorsu, ramion...

Głowę miał w ogniu, a drżał jak w febrze.

Co mu ten zapach nawiał do duszy? Taki jakiś znajomy, taki kochany...

— Aha, jaśmin, jaśmin...

I naraz, asocjacją myśli wywołane wspomnienie, padło nań wizją:

Oto ona, „koza“ idzie ku niemu w swojej wyrosniętej sukience. „Wymawiam“ — woła już zdaleka i pokazuje „zielone“ pod szkiełkiem.

— Żadne „wymawiam“ panno Helu: wyraźnie zastrzeżono, że ma być zawsze świeże. Przegrane, przegrane!

— Niech sobie będzie, ale pożałuje pan tak, że już nie wiem.

Ach, ta cudna nadąsana minka.

Zawraca, chce odejść.

— Proszę zostać...

Wyciągnął rękę.

Oprzytomniał.

Poco było przyjeżdżać?!

Mało jeszcze przez nią wycierpiał?!

Tak, prawda, cierpiał dużo, ale też jej obrazowi noszonemu w duszy jak świętość, zawdzięcza jedyną radość swego życia: tę trochę sławy.

Hela, wracając, wsunęła się w sam kątek powozu, żeby być jaknajdalej od męża, nie odpowiadała zupełnie na jego nieznośną paplaninę.

— Cóżes w takim złym humorze? Inna by podziękowała mężowi, a ta siedzi jak niema. Wyda się kupę grosza na ten portret, ale nie żałuję wcale; ta ściana nad fortepianem zupełnie goła.

„Boże, jak ten człowiek cały na wierzchu, cały w drobiazgach“ — pomyślała gorzko — „dlatego tylko portret“.

— Nie żałujesz, a jabym cię tak bardzo prosiła, żeby tych seansów nie było więcej.

— A to czemu?

— Bo mnie to straszliwie męczy.

— Zawsze inna, niż drugie. Niejedna radaby pozować do portretu, a ty...

— A ja prawdziwie nie mogę.

— Co to nie mogę? Ty wiesz, że ja się do kaprysów nie stosuję. To mi się podobalo!... Portret się wykończy i basta.

— Dobrze, ale niech się wykończy z fotografii.

— Także pomysł. Płacić tyle pieniędzy za portret z fotografii. Nawet bym się wstydzil komu powiedzieć.

„Kretyn, oto jego ewangelja“ — mimowoli zadzwieczyła w myślach.

Lindner wysiadł przed fabryką, a Hela wróciła do domu. Sam na sam ze swoją udreconą duszą poczęła robić obrachunek swej doli.

Młoda jest jeszcze, może żyć długo i takie już zawsze będzie to życie?

Takie... zawsze. Okropnie pomyśleć.

Jaką straszną odpowiedzialność rodzice wzięli na siebie, widzieli tylko świetny los, a nie pomyśleli, jak ten los może zaciężać na jej życiu, nie pomyśleli, że przyjdzie chwila, kiedy serce głodne, krzykiem się wielkim o swoje prawa upomni.

Co zrobi z tym jej życiem? na co ją dali?

Na uświęconą prawem, tym jeszcze ohydniejszą prostytutkę.

Otrząsnęła się ze wstrętem.

Nas Bóg urządził ku wspólnemu życiu,  
Jednakowa nam gwiazdą świeciła w powi-  
[ciu,  
Równi, choć różnych zdarzeń wykształceni  
[ciekiem,  
Postawą sobie blizcy, jednostajni wiekiem,

uparcie brzęczało w mózgu.

Nie czuć, nie rozumieć!

Żebyż choć nie przymuszał ją do tych  
seansów. To męka nad siły.

## X.

Tak przyjemnej zimy Hela nie pamiętała. Tym razem brała chętny udział we wszelkich zabawach: mogła być pewną że gdziekolwiek się obróci, na balu, na koncercie, na spacerze — zawsze spotka Żarskiego.

Ta pewność napełniła jej duszę ciepłem rozradowaniem.

Serce zmartwiało, poczęło się rozchyłać do życia, jak kielich kwiatu do słońca.

Zawsze mieli sobie coś zajmującego opowiedzieć, zawsze w jego towarzystwie odnajdywała dawną swoją wesołość i swobodę.

Uroda jej promieniała.

Żarski niemile był zaskoczony naszą białą, nielitościwą zimą, od której przez szereg lat odwykł był zupełnie, tyle jednak miał słońca w duszy, że wystarczyłoby go na ozłocenie i ogrzanie mroźnych tajg Sybiru.

Portret tymczasem nie bardzo postępował. W końcu z powodu krótkich dni trzeba było przerwać ostatecznie.

Dopiero przed paru tygodniami rozpoczęły się seanse na nowo.

Dziś przyjechała z samą tylko pokojówką. Dałby wiele, żeby się dowiedzieć, czy to traf tak zrządził, czy jej wola.

W każdym razie, atmosfera była zupełnie inna.

Jakby opadły z nich te cztery lata, gawędzili swobodnie, wesoło, niby dwaj starzy przyjaciele. Heli oddawna nie było tak lekko na duszy.

Żarski powoli nakładał farby na paletę.

— Czy pan dziś nareszcie zacznie malować, panie Zdziślawie?

Nie wiedział dotąd, że imię jego tak miły ma dźwięk.

— Zacznę, panno Helu, zaczę.

Opuściła głowę smutnie.

— Co się stało? Przed chwilą pani taka była ożywiona.

Tylem sobie obiecywał po dzisiejszym seansie i naraz ta zasmucona mina.

— Nazwał mnie pan po dawnemu.

— Zrobiłem pani przykrość?

— Nie, przeciwnie, ale pomyśleć, żem postarzała o cztery lata, że mi się ta nazwa już nie należy.

Spojrzał na nią wzrokiem pełnym pobożnego zachwyty.

— Dla mnie pani zawsze pozostanie panną Helą.

— A wie pan, za pierwszym razem tak mi jakoś było nijako, ale teraz, dziś, to tak zupełnie, jak gdyby pan nigdy nie wyjeżdżał.

— Co to czas, co przestrzeń... Niema jeszcze roku, jakem wyjeżdżał z Paryża z ciężkim sercem, a dziś... jestem tu... z panią.

— Tak się często życie układa w dziwne linje. Dlaczego pan właściwie wyjechał z Paryża?

— Ciągnęło mnie do kraju.

— Niech pan powie, co za traf, żem tego dnia właśnie była w „Zachęcie“. Czy mnie pan zaraz poznał?

— Pani chyba żartuje.

— Sądzę, że pan byłby mnie i tak odwiedził.

— O nie! Przedewszystkiem mogłem myśleć, że pani sobie tego nie życzy.

— Czy godziło się tak myśleć?

— W pierwszej chwili kiedym panią ujrzał, stanęło przede mną, jak żywe moje dzieciństwo, moja pierwsza młodość...

Przerwała prędko.

— Poco budzić wspomnienia? Ja nauczyłam się żyć chwilą obecną. Uwierzy pan, żem się ciągle rozglądała po tym olbrzymim Paryżu, czy gdzie pana nie zobaczę?

— Że też ja nie miałem przeczucia, że pani w Paryżu.

— Pan wierzy w przeczucia?

— Wierzę i ta wiara nie zawiodła mnie prawie nigdy.

— Prawda, przypominam sobie, z pana

zawsze był kawał mistyka. Pan nawet kiedyś wierzył w metapsychozę.

— I wierzę... Od pierwszej chwili pobytu mojego w Paryżu wydaje mi się, że byłem już w nim kiedyś, jako Francuz i tem sobie tłumaczę to wielkie moje ukochanie go, oraz tę wielką łatwość przyswojenia sobie jego akcentu i języka. Czy dawno jak państwo byli w Paryżu?

— Trzy lata temu, w pierwszym zaraz roku po... ślubie.

Żarski spochmurniał.

— I jakież pani wyniosła wrażenie?

— Mój Boże, cóż się może skryształizować w umyśle wobec tylu cudów, pracy i genjuszu ludzkiego w ciągu dziesięciu dni?

— Tak, rzeczywiście. Zresztą Paryż, to nie jeden Paryż, ale dziesiątki Paryżów.

Każda dzielnica, to osobny świat z właściwymi sobie typami, charakterem...

To też śmiesznym jest, jak nasz warszawianin zabawiwszy przelotem w Paryżu, duby smalone o nim rozpowiada. Prawdziwie: „a beau mentir, qui vient de loin”. Owa podług naszej cnotliwej Warszawy Sodomą, to więcej niż słusznie nazwany „cerveau du monde”. A nie tylko mózg, ale i serce.

Trzeba było go widzieć po straceniu Ferrera: robił zupełnie wrażenie wzburzonego morza. Znać było, że serca całej młodzieży, a i starszych, to jedno sponiewierane, niesprawiedliwie wydarte serce bratnie.

— Strasznie pan miłuje ten swój Paryż. Więc pan nie znajduje prawdziwym tego osławionego mniemania o obyczajach paryskich?

— Nigdy w życiu. Jeśli nieobyczajniejsze one, to przynajmniej również obyczajne, jak u nas. Tylko tam więcej szczerości. Nie lepiejże, żeby każdy student miał swoją „midinetkę” która z nim dzieli marną egzystencję, niż gdyby po naszymu uganiać się miał po ulicach za pierwszą—lepszą, lub napastować uczciwe kobiety? Niech pani wierzy, że gdyby u nas piękne nóżki wspinały się na imperial po schodkach omnibusu, znalazłaby się u każdego z tych wehikulów spora paczka gapiów! francuz nie reaguje na to. Upewniam panią, że samotnie idącej późnym nawet wieczorem kobiety nie

zaczepi nikt, o ile naturalnie ona sama nie jest wyzywającą. To też oburzają mnie te przechwałki: „o, ja znam Paryż”, kiedy Francuz, urodzony i wychowany w nim, go nie zna.

— Jakto, Francuz go nie zna?

— A naturalnie; być bardzo może, że wytworna stopa mieszkańca uprzywilejowanych dzielnic, nawykłego błaznić okiem po bezmiarze „Place de la Concorde” oddychać powietrzem „Tuilleryjskiego ogrodu”, „Lasku Bulońskiego” nie przecisnęła się nigdy pomiędzy wysuniętymi kramami owoców i jarzyn, kapeluszy, wstążek, szcetek i garnków, zatłoczonego trotuaru „Avenue de Gobelins” tak bardzo typem zbliżonego do prowincjonalnego miasteczka Włoch.

Czyż ma pojęcie „habitué” Wielkiej Opery o owych rodzimych melodjach, owych „cris de Paris” którymi Paryż dzień rozpoczyna. Jeszcze mgły poranne leżą nisko nad ziemią, a już po bruku klekoce wózek gałganiarza.

Zatrzymuje go przed każdym domem, skierowuje latarenkę na śmietniska, szczęśliw jeśli mu się uda wyłowić tu but bez podeszwy, owdzie dziurawy kapelusz, garniek bez dna, lub bezbarwną szmatę.

Te zdobycze rad zawozi do swojej nędznej budy o oknach papierem pozaklejanych, gdzie na barłogu z przegniłych, cuchnących łachmanów, ścisną w objęcia swoją ohydłą samice, daje życie owym nieszczęsnym „fanfaus”) de Paris”, od urodzenia „chair à prison” przeznaczonym na zwiększenie legjonów prostytutek i apaszów. Wszystko się zapowiada jakąś śpiewną strofką i „Chand d'habits” (marchand), i szklarz: „Vitri-i-i”, i obwoływane złamanym głosem starca „Voilà-â-â du mouron pour les petits a'oi-â-â-â-seaux (oiseaux). I sprzedawca sałaty, i wypłacz krzesel, i „tondeur” cyrulik psów, wszystko to, oznajmia o sobie swojego rodzaju śpiewem. Ku południowi jedna jeszcze melodja, wózek kwiaciarki: deux sous la botte, deux sous.

Cóż wie po tamtej stronie Sekwany, elegancki, wonny, rozbawiony Paryż, mający swoich dostawców, o niewyczerpanych sztuczkiach ulicznego camelot'a?

Wyrośnięty, chuderlawy, z czapką na ucho nasuniętą zawadjacko, z ogarkiem pa-

\*) Zdrobniła nazwa dzieci.

pierosa w zębach „mydli oczy” na rozmaite sposoby, to pada raptem symulując zemdlenie, to obstawiający się zapalonemi gromnicami, kreśli z powagą Archimedesza, figury geometryczne. Kiedy już zwabił dostateczną ilość publiczności recytuje jakąś mowę, sypie jak z rękawa dowcipem, prawi paniom komplementy, wykrzywia się, kopjuje znane osobistości. Trudno sobie wyobrazić niebывałą zręczność, niewyczerpaną pomysłowość, przekonywającą wymowę tych sztukmistrzów trotuaru.

W rezultacie tego całego wstępu, wyciągnie ze skrzynki to zegarek dziecinny, to grzebień, który z powodzeniem zapewne służył przedpotowemu troglodycie, lub flaszeczkę płynu, wywabiającego wszelkie plamy „même celles de l'honneur“.

(d. c. n.)



XAWERY GLINKA

3

## Prawdziwa przygoda mojego ducha.

NOVELA.

(Dokończenie.)

Nie długo się jednak nad tym zastanawiał. Zajrzał do jednej, do drugiej księgi, wziął do ręki ten, ów list — i nie nie pojąwszy — odłożył. Chwilę się zatrzymał w zamyśleniu i począł zbierać wszystkie rozrzucone księgi i papiery i rzucać je do wielkiego komina, znajdującego się w rogu pokoju. Tak oczyściwszy stół — podpalił w kominie i usiadłszy naprzeciw w fotelu z zadowoleniem przyglądał się, jak ogniste języki obejmowały z niesłychaną szybkością cały stos ksiąg i listów. W przeciągu kilku minut, pozostała tylko garść popiołu.

Gruchalski odetchnął.

Wyjął z szuflady biurka parę arkuszy czystego papieru i zabrał się do pisania sonetu, którego pomysł dręczył jego obecnego ducha, jeszcze przed wcieleniem. Czuł, że

natchnienie spływało nań szeroką falą. Odał się więc tej fali na pastwę z taką zapalczywością, że nie słyszał nawet, jak do pokoju wszedł służący i zameldował:

— Pan rządca, proszę Jaśnie Pana.

Jednocześnie prawie wsunęła się mała figurka, przesadnie elegancka, i cała w dygach i ukłonach zbliżyła się do biurka.

Gruchalski wściekły, że mu przerwano, wskazał ręką krzesło.

— Niech — że będzie łaskaw. Czem mogę służyć? —

— Bo to ja, proszę pana szefa, przyszedłem przypomnieć, że dziś niby, właśnie ostatni termin płacenia podatków za rzeźnię, piskliwym głosem informowała figurka.

— Przepraszam pana, ale ja pojęcia nie mam o co panu właśnie chodzi, o jakiejś rzeźni i o jakich podatkach pan mówi. Nie rozumiem również dlaczego mię pan nazywa szefem, gdy ja pana nawet nie znam i nigdy pana w życiu na oczy nie widziałem.

Figurka łypnęła białkami oczu z przerażenia. Przyszło jej na myśl, że jej szef zwarzjował.

— Pan szef raczy sobie żartować ze swego powolnego sługi — zaczęła znów figurka ostrożnie — ale to naprawdę sprawa pilna, bo jeśli dziś się nie zapłaci — to jutro rzeźnię opieczętują.

Gruchalski wpadł w pasję.

— Panie, radzę panu zostaw mię pan w spokoju. Przychodzisz pan w chwili gdy jestem w natchnieniu, przerywasz mi brutalnie wątek myśli — i nudzisz mnie pan jakimiś sprawami, o których pojęcia najmniejszego nie mam. Żegnaj pana.

W głowie domniemanego rządcy, już nie na żarty ustaliło się przekonanie, że jego chlebodawca ma źle w głowie. Ostrożnie tedy w dygach i ukłonach cofał się w milczeniu ku drzwiom, a gdy próg przestąpił — jak opętany przez dalsze pokoje pędem się puścił.

Gruchalski zaś wściekły, że mu przerwano, znowu się do pisania zabrał.

Nadeszła pora obiadu. W jadalni został już Gruchalski małżonkę swoją, zbliżył się więc ku niej i czule w czoło ucałował. Zachnęła się trochę i coś jakby wyraz lekkiej obawy przemknął po jej twarzy. Doszły już bowiem i do niej od służby komentarze o rannej przygodzie z rządcą.

Obiad zeszedł w milczeniu.

Wieczorem, po wczesnej kolacji udał się Gruchalski na spoczynek, pełen wewnętrzznego zadowolenia, że mu tak dzień pracowicie zeszedł. Żona, krzątała się gdzieś jeszcze w dalszych pokojach. Czekał na nią.

Dreżczyła go chęć przeczytania komuś świeżo napisanego utworu, (Ot, zwykła potrzeba poetów!) nie wiedział jednak komu. Żonie? Ale czy go zrozumie? Kobiety są tak ciężkie w tym względzie...

Gdy wreszcie nadeszła żona i gdy znalazła się obok niego — nie wytrzymał Gruchalski i rzekł do niej w te słowa:

— Żonuś moja — wiesz, napisałem dziś wiersz, który chciałbym Ci przeczytać. Nie wiem czy Ci się podoba.

Żona ze zdziwienia czy przerażenia na łóżku się podniosła.

— Co? ty... wiersz... napisa...teś... — wybełkotała prawie.

Teraz już nie miała żadnych wątpliwości, co do stanu umysłu swego małżonka. A że mieszcza była w duszy i do niższego rzędu natur należała — bała się wszelkiej warjacji, jak djabeł wody święconej. Okropnem się jej wydawało, że musi w jednym łóżku z warjatem noc spędzić.

Gruchalski na zdziwienie i strach żony nie zwracał uwagi. Wydostał z pod poduszki zwitek papieru i przy blasku lampki nocnej czytać począł.

Było to rzeczywiście bardzo poetyczne objawienie, ze światów zmysłami nieogarniętych. Dla żony jednak Gruchalskiego, był to zbiór jakichś niezrozumiałych frazesów, których poszczególne słowa jak *Wieczność*, *Nirwana* i *Absolut* — napawały ją nieopisanem przerażeniem.

Sytuacja w jakiej się znajdowała, była dla niej pełna niewymownej grozy. Nikły blask lampki nocnej, obłąkany czytający jakoweś straszne rzeczy, te słowa niepojęte padające w ciszy nocnej jak tarany — i ona sama jedna, bezbronna przykuta do łóżka...

Przerażenie jej doszło do tego stopnia, że poczęła zębami dzwonić.

A Gruchalski czytał dalej, jakby nie słysząc nic, co się naokół działo. Już dobiegał do końca, gdy raptem żona wyskoczywszy nagłym ruchem z łóżka, w kilku susach przebywszy sypialnię, zniknęła za drzwiami. Gruchalski słyszał tylko brzęk klucza przekręcanego w zamku i w chwilę potem ciche łkanie.

Nie mógł pojąć co się stało. Począł czule przez drzwi do żony przemawiać, namawiając ją do powrotu — okazało się to jednak daremnem. Położył się wreszcie, widząc że nic nie wskóra i rozmyślając nad tem co zaszło, usnął.

\* \* \*

Obudziła go prowadzona szeptem rozmowa tuż przy łóżku. Otworzył oczy udając, że śpi przysłuchiwać się począł rozmowie.

— Wczoraj dopiero — słyszał słodki głosik żony — objawiło się to po raz pierwszy. Dawniej, nigdy nic podejrzanego nie zauważyłam. Wczoraj rano popalił wszystkie księgi kasowe, nie poznał pana radcy, którego wprost wyrzucił za drzwi — a najstraszniejszy atak przyszedł wieczorem, gdy począł mi czytać jakoweś bzdury, które jak twierdził sam napisał. Mogą panowie sobie wyobrazić co ja przeniosłam wczoraj, co przeżyłam...

Dalszych słów już nie słuchał, gdyż wściekły zerwał się z łóżka i chwyciwszy pierwsze, stojące z brzegu krzesło rzucił się na oszczerców, chcąc się z nimi należycie rozprawić.

Skrepowano go jednak prędeż, zanim się miał czas zemścić.

Osadzono Franciszka Gruchalskiego w domu obłąkanych, gdzie ze zgryzotą w nie w długi czas potem Ducha wyzionął.

\* \* \*

A Duch mój, ponury na ową smutną przygodę — postanowił więcej na ziemię nie wracać.

KONIEC.



# Dzieje Trzynastu.

(Z francuskiego).

W skrytości ducha był gorącym patryjotą, jawnie — stronnikiem ministerjum, więc, tylko przy kominku pozwalał sobie sarkać na sposób postępowania rządu. W rodzinie Jacquet był autokratą i królem, lecz królem dobrodusznym i w miarę możności, hojnym. Aby zakończyć portret tego bezwiednego filozofa, powiemy jeszcze, że nie przeszło mu nigdy przez myśl, ile korzyści mógłby być wyciągnąć ze swego stanowiska, znając najbogatszego maklera giełdowego i posiadając wczesnym rankiem tajemnice państwowe. Był to człowiek wspaniały w swej abnegacji, niby ów żołnierz napoleoński, który ginie bez sławy, ocalając armję danym w odpowiedniej chwili sygnałem. Jacquet mieszkał w ministerjum.

W dziesięć minut po otrzymaniu tajemniczego listu, Juljusz znalazł się w biurze archiwisty. Jacquet podsunął mu fotel, położył na stole okulary, zatarł ręce, wziął tabakierkę, podniósł się, trzeszcząc kośćmi, wypiął pierś i rzekł:

— Co za szczęśliwy traf sprowadza cię do mnie? Czem ci mogę służyć?

— Jacquet, jesteś mi potrzebny do zgłębienia tajemnicy, która będzie stanowiła o mem życiu lub śmierci.

— Nie dotyczy polityki?

— Dla giełdy niema tajemnic politycznych, — rzekł Juljusz. — Nie, chodzi o sprawę familijną, co do której wymagam od ciebie bezwzględnego milczenia.

— Klaudjusz Józef Jacquet milczy z zawodu. Chyba znasz mnie? — odparł urzędnik ze śmiechem. — Milczenie to moja specjalność.

Juljusz wskazał mu list, mówiąc:

— Musisz odczytać ten liścik, przesłany mojej żonie...

— Do djaska... Do djaska!.. Fatalna sprawa, — rzekł Jacquet, przyglądając się listowi w taki sam sposób, w jaki lichwiarz przygląda się wekslowi. — Aha, to list z kluczem kratkowym. Poczekaj.

Pozostawił Juljusza samego w gabinecie. Po chwili wrócił.

— Zabawka, mój przyjacielu! Posługiwano się starą kratką, której używał ambasador portugalski za czasów de Choiseula, w okresie wypędzenia jezuitów. Patrz, oto klucz.

Jacquet nałożył na list papier z prawidłowo wyciętymi kratkami. Wówczas Juljusz mógł swobodnie przeczytać zdania, które pozostały niezakryte:

„Nie niepokój się, kochana Klementyno. Nikt więcej nie zakłóci naszego szczęścia i mąż twój porzuci swe podejrzenia. Nie mogę przyjść do ciebie. Nie zważaj na chorobę, zdobądź się na odwagę, zbierz siły, które zacierpniesz z swej

miłości. Miłość ku tobie skłoniła mnie do podania się najokropniejszej operacji, więc nie mogę ruszyć się z łóżka. Wczoraj położono mi na szyi, od jednego ramienia do drugiego piekące plastry, które mi będą musiał przez dłuższy czas przypalać sobie ciało. Rozumiesz o co chodzi? Ale myślałem o tobie, więc nie cierpiałem zbyt. Aby zmylić czujność Maulincoura, który niedługo już przestanie nas zresztą prześladować, porzuciłem opiekunę gmachu poselstwa i jestem starannie ukryty przy ulicy Czerwonych Dzieci № 12, u starej kobiety, niejkiej Stefanji Gruget, matki tej Idy, która drogo zapłaci za swój głupi wybrak. Przyjdź do mnie jutro o dziewiątej rano. Znajdę się w pokoju, do którego wchodzi się po zewnętrznych schodach. Spytaj się o pana Camusca. Do jutra. Całuję twe czoło, najdroższa“.

Jacquet spojrział na Juljusza z wyrazem niekłamanego zgorznienia, w którym kryło się szczerze współczucie i powtórzył kilkakrotnie i na różne tony swe ulubione wyrażenie:

— Do djaska!.. Do djaska!.. Do djaska!..

— Wydaje ci się to jasnym i niedwuznacznym prawdą? — rzekł Juljusz. — A jednak jakiś głos, w głębi mego serca, broni żony i zagusza głos zazdrości, głos bólu. Do jutra będę znosił najstraszniejsze katusze. Ale jutro od dziewiątej do dziesiątej dowiem się prawdy i będę na całe życie najszczęśliwszym lub najniešťęśliwszym z ludzi. Liczę na ciebie, mój przyjacielu.

— Będę u ciebie jutro o szóstej rano. Pójdziemy razem do tego domu i, jeśli chcesz, będę na ciebie czekał na ulicy. Możesz znaleźć się w niebezpieczeństwie, potrzebna ci będzie pomoc oddanego przyjaciela, który cię nie zawiedzie. Licz na mnie.

— Nawet jeśli trzeba będzie zabić kogoś?

— Do djaska!.. Do djaska!.. — odparł Jacquet, powtarzając swą stałą spiewkę, — nie zapominaj, że mam żonę i dwoje dzieci...

Juljusz ścisnął rękę Klaudjusza i wyszedł. Lecz po chwili wrócił pośpiesznie.

— Zapomniałem o liście, — rzekł. — Trzeba go zabezpieczyć tak, żeby żona moja nie poznała, że był otwierany.

— Do djaska!.. Do djaska!.. Otworzyłeś go nie robiąc woskowej odbitki z pieczętki. Ale na szczęście tak złamał się dość szczęśliwie. Zostaw mi list, zrobię odbitkę, zabezpieczę i odniosę ci.

— O której?

— O wpół do szóstej...

— Gdybyś nie zastał mnie w domu, oddaj go poprostu odźwiernemu i kaź doręczyć żonie mojej.

— Będę ci potrzebny jutro?

— Nie. Dziękuję ci.

Juljusz w ciągu paru minut dojechał do placu Temple, wysiadł w tem miejscu z powozu i udał się pieszo na ulicę Czerwonych Dzieci, gdzie obejrzał uważnie dom zamieszkały przez Stefanję Gruget. Tu miała wyjaśnić się tajemnica, od której zależał los tylu osób. Tu znajdował się Ferragus, a Ferragus był tym, który

dzierzył w swem ręku wszystkie nici intrygi. Czyż spotkanie tych trzech osób: pana Juljusza, pani Juljuszowej i Ferragusa, nie było węzłem gordyjskim krwawego dramatu, któremu brakowało tylko karzącego miecza, rozwiązującego najmocniej splecione węzły.

— Pani Stefanja mieszka w tym domu? — spytał Juljusz stróżki.

Ujrawszy Juljusza, stróżka wzięła nóż, zaczęła grzebać nim w garnku z tłącymi się węglami, którymi grzała sobie nogi i rzekła:

— Pyta się pan o panią Stefanję? Czy o panią Stefanję Gruget?

— Tak jest, — odparł Juljusz z miną niemal obrażoną.

— Która pracuje w pasmanterji?

— Tak.

— To, proszę pana, — rzekła, wychodząc z swej kłitki, kładąc poufale rękę na ramieniu Juljusza i prowadząc go w głąb długiej sieni, sklepionej jak piwnica, — niech pan wejdzie na drugie schody w głębi podwórka. Widzi pan okna, w których stoją doniczki z *liwkonjami*? to tam mieszka pani Stefanja.

— Dziękuję, moja kobieto. Czy sądzicie, że ona jest sama w domu?

— Jakżeby nie miała być sama, kiedy jest wdową?

Juljusz lekko wspiął się po ciemnych schodach, których stopnie pokryte były wybojami, pochodzącymi z stwardniałego błota, przyniesionego przez licznych mieszkańców tego domu. Na drugiem piętrze znalazł troje drzwi, ale nigdzie nie dostrzegł *liwkonji*. Na szczęście, na jednych drzwiach, bardziej jeszcze zatłuszczonych i zabrudzonych, niż inne, ujrzał nakreślone następujące słowa: *Ida przyjdzie dziś wieczorem o dziewiątej*.

— To tu, — pomyślał Juljusz.

Pociągnął za brudny sznur od dzwonka, usłyszał stłumiony dźwięk i ochryple szczekanie

jakiegoś astmatycznego psa. Z tego, jak zadzwieczał dzwonek wewnątrz mieszkania, Juljusz poznał, że pokój musi być wypełniony meblami, które tłumią dźwięki i nie przepuszczają najsłabszego nawet echa. Jest to charakterystyczną cechą mieszkań zajmowanych przez robotników i w których brak jest miejsca i powietrza. Juljusz w dalszym ciągu machinalnie szukał *liwkonji* i wreszcie znalazł je wewnątrz okna, na cuchnącej blasze daszku. Wyjrawszy przez okno, ujrzał kwiaty, ogródek długości dwóch stóp, szerokości sześciu cali, parę ziarenk zboża, jednym słowem znalazł streszczenie całego życia i całej nędzy życia. Obok kwiatów i zboża promień słońca, spadający z nieba niechętnie, jakby z łaski, oświetlał kurz, tłuszcz, nieokreślone kolory, właściwe norom paryskim; trzeszczące poręcze schodów, nąderżone okiennice, drzwi pierwotnie czerwonej barwy. Wkrótce typowy starczy kaszel i ciężkie kroki kobiety, wlokącej z trudem filcowe pantofle, zwiastowały zbliżenie się matki Idy Gruget. Staruszka otworzyła drzwi, podniosła głowę do góry i rzekła:

— A, to pan Bocquillon. Ależ skąd! Patrzcie państwo! Jaki pan podobny do pana Bocquillon. Może to pański brat? Czem mogę służyć szanownemu panu? Proszę, *łaski pan* wejdzie.

Juljusz udał się za staruszką do pierwszego pokoju, w którym ujrzał rozstawione bezładnie klatki, naczynia gospodarskie, piece, meble, małe gliniane miseczki pełne wody i ciasta dla psów lub kotów, zegar w drewnianej oprawie, koldry, obrazki, stare żelazto, wszystko to nagromadzone, pomieszane i połączone w komicznym nieładzie i przykryte płachtami starych gazet.

Juljusz pogrążony w myślach, nie słyszał słów czcigodnej wdowy, która uprzejmie zapraszała go:

— Proszę, niech *łaski pan* pozwoli tutaj. Ogrzeje się *łaski pan*.

(d. c. n.)

# NESTLE

Mączka mleczna jest najodpowiedniejszym pokarmem dla niemowląt oraz dla osób dorosłych chorych na żołądek i rekonwalescentów.

## WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.— „ „ 5.— „ „ 2.50
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwartalnie.	Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Eklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petii.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“.

Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gilszczyńska.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Drak L. Billińskiego i W. Maślankiewicz, Nowogrodzka 17.